

OSTATNIE ŻYCZENIE



— Pańska prośba o ulaskawienie została odrzucona. Jakże jest pańskie życzenie?
— Chciałbym się nauczyć czytać i pisać.

TROSKLIWY LEKARZ

Nieżyjący już dziś dr. K., ucho-
dził w swoim czasie za najbar-
dziej troskliwego lekarza w War-
szawie. Opowiadają o nim, że
pewnego razu, odwiedzając jed-
nego ze swych pacjentów, spytał
żony jeszcze w przedpokoju.

— Jakże tam dziś nasz chory,
kochana pani?

— Właśnie — odparła kobieta,
rzewnie łzy lejąc — właśnie, pa-
nie doktorze umarł wczoraj wie-
czorem.

— Umarł — powtórzył lekarz
przejęty — umarł... ooo, no a
po tych prośbach, com mu rano
zapisał, pocili się, pocili?

— Pocili, panie doktorze — od-
rzekła zapłakana niewiasta.

— A to dobrze, to dobrze —
powiedział zadowolony lekarz.

NA PUSTYNI



— A ja, idiota, myślałem, że to
tylko fatamorgana.

Z KOLEKCJI T. ZW. „SZCZYTÓW”

• Szczyt dyskrecji: przedstawia-
jąc się w towarzystwie szepać
na ucho formułkę „bardzo mi
przyjemnie”.

Szczyt uprzejmości: wbiec do
okrągłego budynku na rogu Świę-
tokrzyskiej i placu Napoleona w
niecierpliwym zwłoki interesie i
ustąpić miejsca w kolejce starsze-
mu panu.

Szczyt dokładności: pomalo-
wawszy chorągiewkę na wieży
ratuszowej, wywiesić tabliczkę:
„Ostrożnie. Świeżo malowane”.

Szczyt głupoty: pamiętać wszy-
stkie „szczyty”.

ZNA SWOJĄ WARTOŚĆ



— Widzisz, Alfredzie, jak to lu-
dzie podziwiają moją suknię wte-
dy nawet, gdy spóźniamy się do
teatru.

Gniadzikówka

(Historia autentyczna ku przestrodze pijaków)

Zdawna już sobie umyśli-
łem, żeby napisać dzieło ku
przestrodze pijaków. Zagad-
nienie alkoholizmu dręczy
mnie bowiem tak silnie, że
rozumiałem wreszcie, iż po-
wołaniem mojego życia jest
uczynić coś dla zwalczania tej
kleski. Nie dbam o uznanie
społeczeństwa, mniejsza mi o
to, czy wszystkie towarzy-



stwa antyalkoholiczne uczy-
nią mnie za to członkiem ho-
norowym, czy urzędzona bę-
dzie akademія w ratuszu na
moją cześć z częścią wokalną
i przemówieniami hołdowni-
czymi, a potem uczę z wodą
sodową, zamiast tej okropnej
wódki i napojem „Sinacolo”
zamiast wina. Nie zabiegam
też wcale o to, aby małe dzieci
odkrywały głowy na mój wi-
dok i w miastach prowincjo-
nalnych spotykały mnie dele-
gacje z orkiestrą i białą ubra-
ną dziewczynką, która mi wrę-
czy bukiet kwiatów i na któ-
rej czole złożę ojcowski poca-
łunek wobec tysiąca obiekty-
wów.

Nie. Chodzi mi tylko o czy-
stą, bezinteresowną zasługę
społeczną. Dlatego ogłaszam
wspomnienie z mojego życia,
z gorącym pragnieniem, aby
każdy pijak w chwili podno-
szenia kieliszka do ust przy-
pomnił sobie ten wypadek,
wzdręgnął się ze wstrętu i
wyłał truciznę do popielnicz-
ki.

A więc, zaczynam.

Było to niedaleko od War-
szawy. Pomijam miejscowość,
aby nie czynić wstydu tam-
tejszym pijakom. Wystarczy,
że powiem, iż historia ta dzie-
ła się w Grójeckim.

Otóż w jednym z majątków
w Grójeckim, był stróżem Ja-
kub Gniadzik. Porządny dzia-
dzina, choć miał krzywą nogę.
Każdy stróż i pastuch ma ja-
kiś feler. Jeden kulawiec, dru-
gi przygłuch, trzeci niespeł-
na rozum. Nie jest w tym
nic nadzwyczajnego: po pro-
stu wszędzie trafi się jakiś
niedojda, którego przecież
trzeba zatrudnić. Czy na świe-
cie jest miejsce tylko dla bo-
haterów? Więc faceta trąco-
nego na umyśle przeznaczają
się zawsze do łatwej roboty:
pasienia bydła, łazenia po no-
cy z psem i latarką, tudzież
gwizdania od czasu do czasu,
aby złodzieje wiedzieli, że tu
porządek i pilnują.

DOBRY SASIAD

Pan Kuszpietowski jest wyjąt-
kowo delikatnym sąsiadem. Nigdy
nie puszcza głośniejszego dźwię-
ku rano i po dziesiątej wieczo-
rem, nie urządza wieczorków ta-
necznych, nie ciska butami o ścia-
nę, kładąc się spać po powrocie o
pierwszej w nocy.

Przeprowadzając się na nowe
mieszkanie poprosił tragarzy,
przenoszących kasę pancerną:

— Panowie, idźcie na palcach,
gdyż sąsiad z dołu odbiera
drzemkę poobiednią.

NA KOLEJACH... SOWIECKICH

— Tylko godzina spóźnienia?
— pyta maszynista zawiadowca
stacji — Cóż to się stało?

— Chcieliśmy wypróbować naj-
wyższą szybkość, panie naczel-
niku.

Gniadzik tedy miał krzywą
nogę i poza tym był trochę
palnięty na umyśle. Goraz-
dziej, na przykład, opowia-
dał, w jakich okolicznościach
okulał. Za pierwszym razem
powiedział mi, że to kozaki.
W wielką wojnę kozaki mu
nogę złamały. Innym razem
mówił, że odniósł ten szwank
w dziedziństwie, gdy wlaź na
komin gorzelni i później zle-
ciał na łeb w sadze. A jeszcze
kiedy indziej mówił, że to by-
ło wtedy, jak służył we mły-
nie. Odstawiali mękę do mia-
sta, w kilka wozów i tak się
bawili po drodze, że skakali
jeden do drugiego, z woza na
wóz. Gniadzik wpadł pod ko-
ło i wóz mu nogę złamał.

Otóż, jednego roku, jakoś
na jesieni nastąpiły dwa wy-
padki, które uwagę całej naj-
bliższej społeczności zwróci-
ły na Gniadzika. Pierwszy
wypadek był ten, że Gniadzik
kupił sobie buty. Na święto-
michalskim jarmarku kupił
eleganckie „amburskie” buty,
wysmarował łojem i parado-
wał w tych butach ku pow-
szecznej sensacji i, u niejed-
nego, zazdrości.

go majątku, który jeździł do
siostry koło Lumboczn. Je-
chał przez rzeczny las, a na
przeciwko szedł Gniadzik.
Jak go zobaczył, to skoczył w
krzaki i schował się.

— Widzisz, jaki majster —
mówili ludzie — zdawało się,
głupi, a w drugi powiat drogę
znalazł.

— Speculant. On już dawno
widać zamierzał uciec. Na
to sobie, jucha, te buty kupił.

Przeszła zima, wiosna, o
Gniadziku zapomnieli wszy-
scy. Nastąpiło lato i nagle zelek-
tryzowała wszystkich wieść,
że Gniadzik się znalazł. Jak
się znalazł? Przy letnim re-
moncie gorzelni. Gdzie? W
magazynie. Leżał na dnie
zbiornika, wspaniale zakon-
serwowany w spirytusie, w
swoich butach, (tój złaź) z
nich, widać rozpuścił się w o-
kowicie ze szczepem, w kożu-
chu, z lalarką i laską w rękę.
W drugiej garści silnie zaci-
śniętej Gniadzik trzymał dłu-
gi sznurek z uwiązana na koń-
cu butelką.

Zbiegli się wszyscy i oglą-
dali Gniadzika z niesłycha-
nym zajęciem. Cały scjm ze-



— Psiachmać! Kobyłem rzymieniem ta okowitka śmierdzi!
— Ni, kumie. Cysto kozuch barani!

Drugi wypadek polegał na
tym, że Gniadzik zginął.
Wkrótce po kupieniu sobie
owych butów, Gniadzik prze-
padł, jak kamień w wodę.

Przez kilka dni ludzie deba-
towali, co się mogło stać z
Gniadzikiem, aż wreszcie ura-
dzili, że nic innego, tylko
Gniadzik uciekł. Jakoś też w
tym czasie przyniósł ktoś wi-
adość, że Gniadzika widzieli
za Pilicą. Ponieważ zaś Gni-
adzikowi już się kiedyś zda-
rzyło, że zginął, a potem się
znalazł i w dodatku pary nie
chciał puścić, co się z nim
działo, przeto opinia publiczna
wróciła do poprzedniego spo-
koju.

Koło Nowego Roku przy-
szła inna wieść: Gniadzik
służy w Rawskim, we dworze.
Widział go farnal z sąsiednie-

brał się nad Gniadzikiem.
Szybko doszli wszyscy, jak to
było. Gniadzik miał widać
podrobiony klucz do magazy-
nu, wlaź w noc na zbiornik,
odkręcił pokrywę otworu,
spuścił na sznurku butelkę,
zaczepnął okowitki i popi-
jał sobie. Jeszcze mu się za-
chciało, znowu zapuścił bu-
telkę, a że był widać pijany, i
ze zbiornika szły opary, we-
łbie się Gniadzikowi zakręci-
ło, „omknął się” i wleciał
przez otwór do cysterny. O-
czywiście w spirytusie trudno
pływać, lekki jest, i Gniadzik
poszedł od razu na dno, jak
kamień. I tak sobie przeleżał
od jesieni do lata, utopiony w
spirytusie.

Ludzie kręcili głowami na
tak niezwykle wypadek. Zda-
rzają się też na tym świecie

NIEPOROZUMIENIE



Blum — Co jest? My ich witamy, a oni uciekają?
(Z tyg. „Szarża”).

historie, zdarzają.

Wyprawili Gniadzikowi
chrześcijański, choć w nie-
praktykowany sposób, bo aż o
dziesięć miesięcy spóźniony
pogrzeb, ale długo potem była
jeszcze mowa o Gniadziku.
Powoli przypomniiano sobie
różne szczegóły. A to, jak po
zniknięciu Gniadzika gorzela-
ny znalazł otwarty magazyn,
plomby zerwane, pokrywę
zdejną i jakie to piekło było,
komisje, dochodzenia. Akcy-
zyk chciał gorzelnego cią-
gnąć, gorzelany ludzi, stra-
szone rzeczy się działy. A to
wszystko przez Gniadzika.

Potem przypomnieli sobie i
inne okoliczności. Jak to się
nieraz ludzie wydziwić nie
mogli, że tegoroczna okowitka
(nie bez tego przecież, żeby
gorzelany wódki nie miał, a
temu, lub owemu gąsiorku,
butelczyny, czy choć półkwa-
terka nie użytych), otóż przy-
pomnieli sobie ludzie, że tego-
roczna okowitka dziwnie rze-
mieniem śmierdziała.

— To były buty gniadzi-
kowe! — domyślił się teraz.

I spirali się długo, czym
zalatowała tegoroczna okowi-
tka. Jedni mówili: „rzenie-
niem”. Inni: „baraniam kożu-
chem”. Inni twierdzili, że sa-
dem, którym wysmarowane
były gniadzikowe buty. Zna-
czna część utrzymywała sta-
nowczo, że naftą.

Rzeczywiście przypomnieli
sobie, że już w zimę powsta-
wały spory, że okowitkę czym-
ciś czuć: sadłem, rzemieniem,
naftą czy kożuchem. Kto by to
pomyślał, że wszystkimu wi-
nien był Gniadzik.

Najgorsze w tym wszystkim
było to, że Gniadzik, jako się
rzekło, przeleżał w spirytusie
całą kampanię gorzelnianą, od
świętego Michała do znuw.
Wszystka produkcja przepu-
szczona była przez Gniadzika.
Z milion „stopni” nalewki na
Gniadziku poszło w handel.

Do dziś w tym majątku (nie
chcę wymieniać jego nazwy)
Gniadzik żyje we wspomnie-
niu. Z tej mianowicie po czę-
ści przyczyną, że jak to pija-
kom wiadomo, starka im dłu-
żej stoi, tym lepsza, a najlep-
sza starka, to właśnie z oko-
witki. Bierze się okowitkę,
wylewa na miednicę i zapala.
Dopóki pali się żółto, trzeba
czekać. To się fuzel. pali. A
jak płomień zrobi się niebie-
ski, trzeba go zdmuchnąć. W
ten sposób znacznie się oczy-
ści okowitkę. Potem, tak oczy-
szoną okowitkę, drodzy przy-
jaciele, nalejcie na świeży o-
wies. Tylko trzeba go dobrze
wydmuchać, żeby kurzu nie
miał. Sześć tygodni niech po-
stoi na owsie. Potem jak zlać z
owsa w butelki i do piwnicy.
Za trzy lata — pycha. Czysta
whisky szkocka. Ten sam
smak. A za dziesięć lat — kłę-
kajcie narody! Buzi dać!

Otóż ta historia z Gniadzi-
kiem była piętnastą, czy bo-
daj szesnastą lat temu. Więc
jak się przyjedzie w tamtą o-
kolice i poczęstują człowieka
starką, a człowiek tyknie,
zmarszczy brew i powie: „O!
niegorzej odstąpi” — to go-
spodarz mówi z dumą:

— Ba! Gniadzikówka!
VERY.

KOMPLET

Prof. R. jest sławnym wedy-
kiem. Kiedyś, zaproszony na o-
biad do przyjaciela, dr. W. T.,
milszał przez cały czas. Co praw-
da ani przekąski, ani zupa, ani
pieczone, przygotowane właśnie
przez nową kucharkę, nie uspo-
sabiły radośnie.

Przy kawie profesor odezwał
się po raz pierwszy:

— No — brzmiały jego sło-
wa, — obiadek się udał, bo i ka-
wa pod palem.

CAVALIERE SERVIENTE

Elegancki automobilista, wio-
zący narzeczoną, dobywa z ma-
szyny najwyższą szybkość. Nagle
auto katastrofalnie zbliża się do
brzozy szosy.

— Które drzewo wolisz, naj-
droższa?

WIOSNA



— Sporzrzyj, Teofilu. Mamy
już wiosnę.
— Taak?... Obejrzyj się sama,
jestem teraz bardzo zajęty.

KARA

Stary Cynaderblum, szef domu
bankowego, wróciwszy niespodzie-
wanie do domu zastaje praktykan-
ta, Monka Szwarcberga w sytu-
acji wprost skandalicznej ze swoją
żoną.

— Ty łobuz! — wrzeszczy z pa-
są Cynaderblum — ja ciebie po-
każę!

Lecz Moniek nie czeka, zbiera
co temu manatki i w nogi.

Nazajutrz w biurze Cynader-
blum mówi na cały głos do kasjer-
ki.

— Rozenberżanka! Szwarcberg
ma w tym tygodniu stracone z
pensji dziesięć złotych! Słyszycie?

— Za co, panie szefie? — pyta
kasjerka.

— On już wie, za co! — odpo-
wiada groźnie szef.



Pesymista wsiada na okręt

SUMIENNY URZĘDNIK

— Już mnie nieraz nabijali
przemysłnicy na gumowy brzuch
— powiedział celnik Kuśmidro-
wicz, pakując długi szpikulec w
brzech bardzo grubego pasażera,
— ale z przyjemnością stwier-
dzam, że tym razem mam do czy-
nienia z przyzwoitym człowie-
kiem. Pański brzuch jest praw-
dziwy — dodał, widząc, że pasa-
żer osuwa się na ziemię z wy-
prutymi kiszki.

PECHOWY OGRODNIK

— Choroba z taką pogodą. Ile
razy mam podlewać ogród, za-
wsze zaczyna padać.

U LEKARZA



— Dobrze, że pan przyszedł,
panie Smith, już czas najwyższy!
— Wierzę w to, panie doktorze.
Dziś każdy potrzebuje pieniędzy.